

Stary pałac. Nowa zbrodnia.  
Każdy ma coś do ukrycia.

AGNIESZKA  
PIETRZYK

PAŁAC  
TAJEMNIC



AGNIESZKA  
PIETRZYK

PALAC  
TAJEMNIC



Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2011

Copyright for this edition © 2026 by Nemezis / Grupa Wydawnicza  
Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Anastazja Tabor

REDAKCJA: Magdalena Bandurska

KOREKTA: Dominika Kamyszek – [www.OpiekunkaSlova.pl](http://www.OpiekunkaSlova.pl)

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

ZDJĘCIE AUTORKI: Foto Kora

ILUSTRACJE NA OKŁADCE: © Igor @ Adobe stock, © igorbukhlin  
@ Adobe stock, © Veronika @ Adobe stock, © VFX GUY @ Adobe  
stock, © orfeev @ Adobe stock

WYDANIE I NEMEZIS

ISBN: 978-83-8412-760-5

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-761-2

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-762-9



Plik przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

# ROZDZIAŁ I

## Z olsztyńskiej kroniki kryminalnej:

### MORDERSTWO W PONARACH

W sobotę, 28 sierpnia 2010 roku, w barokowym pałacu położonym nad jeziorem w Ponarach doszło do zabójstwa rosyjskiego małżeństwa. Ofiarami są 50-letni mężczyzna oraz jego 39-letnia żona. Ich 15-letnia córka uznawana jest za zaginioną. Jak poinformował rzecznik policji, zakończono przeszukiwanie okolicznego lasu oraz jeziora. Dziewczynki nie odnaleziono. Rodzina od siedmiu lat zamieszkiwała jedno z mieszkań w pałacu.

### POLICJANCI ODPOWIEDZĄ ZA UCIECZKĘ ARESZTANTA

Komendant policji w Morągu zawiesił w obowiązkach dwóch funkcjonariuszy. W czasie ich służby z aresztu zbiegł niebezpieczny przestępca Sylwester K., pseudonim Major. Trwają poszukiwania zbiega. Mężczyzna podejrzewany jest o porwanie dwóch przedsiębiorców z Olsztyna.

Barokowy, biały pałac wyrastał z niewielkiego wzniesienia opasanego lasem. Prowadziła do niego żwirowa droga. Nad gmach wleciały wrony spłoszone przez nadjeżdżający samochód. Kracząc donośnie, opadały w dół, na moment zawisały nad jasnymi murami, po czym ponownie wzbijały się w niebo. Zaparkowałam przy starej kuźni. Wyjęłam z bagażnika torbę na kółkach i ciągnąc ją po nierównościach, skierowałam się do bramy. Za nią znajdował się dziedziniec porośnięty kępami trawy. Rozejrzałam się: pęknięcia na murze, szczeliny odsłaniające kawałki cegieł, wysokie okna zabite deskami. Od dawna nikt nie dbał o to miejsce. Mimo zniszczeń pałac wciąż olśniewał elementami barokowej architektury. Wokół

smukłych kolumn wiły się liście akantu, a ogromne drzwi zdobiła bogata ornamentyka. Przystanąłam, aby przyjrzeć się kartuszom herbowym znajdującym się w bocznej elewacji. Na jednym herbie widniał rok 1743, na drugim 1893. Oba przedstawiały nogę drapieżnego ptaka po lewej stronie i włócznię po prawej.

Przy drzwiach znajdował się domofon z dziesięcioma przyciskami. Nacisnęłam pierwszy. Nikt się nie odezwał. Przyłożyłam palec do numeru 5. Po chwili usłyszałam dźwięk podnoszonej słuchawki i krótkie pytanie:

– Kto?

Nie byłam pewna, czy to głos kobiety, czy mężczyzny. Pochyliłam się do domofonu i powiedziałam:

– Nazywam się Alicja Prus, będę tu mieszkać, nie mam jeszcze klucza. Proszę mi otworzyć.

Coś zazgrzytało, po czym miły kobiecy głos oznajmił:

– Domofon jest zepsuty. Drzwi otwierają się bez klucza.

Nacisnęłam ciężką klamkę i weszłam do środka. Drewniane, rzeźbione schody wiły się spiralą ku górze. Były piękne, niestety pokrywała je warstwa piachu. Zaczęłam się po nich wspinać. Wielka torba obijała się o poręcz i moje nogi. Stałam w końcu na pierwszym piętrze. Znajdowało się tutaj mnóstwo gratów. Skręciłam w lewo i rozejrzałam się na obie strony, żeby nie przegapić drzwi z numerem 7. Minęłam mieszkanie numer 5. Kolejne drzwi, bez numeru, były zastawione obskurną szafką, na której leżała butelka po winie. Na następnych widniała dziesiątka. Zawróciłam do drzwi bez numeru, pochyliłam się ponad szafką i wsunęłam klucz do zamka. Nie pasował.

Rozległy się kroki. W moją stronę szła młoda, rudowłosa kobieta w zaawansowanej ciąży. Uśmiechnęłam się uprzejmie i pierwsza powiedziałam „Dzień dobry”. Dziewczyna wyjęła papierosa z ust i nosem wypuściła obłok siwego dymu.

– Te drzwi, które próbowałaś otworzyć, należą do piątki. Tam mieszkają Misiaki.

– Mam zająć mieszkanie numer siedem. Możesz pokazać mi, gdzie to jest? – zapytałam.

Przygryzła filtr i przyjrzała mi się uważnie, z pewną dozą nieufności.

– Serio? Siódemkę?

Przytaknęłam.

– No dobra, to chodź.

Prowadziła mnie długim korytarzem, po którego obu stronach stały stare szafy, łóżka polowe, kartony i części zdemontowanych mebli. Wyglądało na to, że mieszkańcy pałacu wystawiają niepotrzebne rzeczy na hol, przez co zamienili go w klaustrofobiczną rupieciarnię. Ciągnęłam torbę za sobą, bo obok mnie się nie mieściła. Minęłyśmy wielką blaszaną wannę wypełnioną szmatami, butelkami i kartonami, za nią stała pralka Frania, potem były drzwi z numerem 7.

– To tutaj – powiedziała.

Wsunęłam klucz i przekręciłam go w zamku. Dziewczyna stała tuż za mną. Jej wielki brzuch napierał na moje plecy. Weszła do mieszkania, nie czekając na zaproszenie. Znalazłyśmy się w dużym narożnym pokoju z dwoma oknami, jednym na wprost drzwi, drugim na lewej ścianie. Pośrodku stał ładny, okrągły stół, a pod ścianą z prawej strony wersalka i fragment meblościanki sprzed

ćwierćwiecza. Po przeciwnej stronie, pod oknem, umieszczono metalowe, stare łóżko i szafki kuchenne. Na lewo od drzwi zobaczyłam zlew i kuchenkę elektryczną.

– Niezbyt tutaj ciekawie – stwierdziłam.

– Liczyłaś na pałacowe wnętrza? – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – Gobeliny, arras i lustra w zdobionych ramach?

– Aż tak to nie, ale oczekiwałabym mebli, które chociaż do siebie pasują.

– Nie masz własnych?

– Nie.

Dziewczyna wskazała głową na okno.

– Jak chcesz sobie poprawić humor, to wyjrzyj na zewnątrz.

Zbliżyłam się do parapetu. Roztaczał się stąd piękny widok na ogród, za którym przebłyskiwało lustro jeziora.

– Mam na imię Anka, mieszkam pod trójką – oznajmiła moja nowa sąsiadka. – Niewiele tu się zmieniło, wymalowali ściany i zabrali dywan. Na pewno był cały we krwi. W człowieku jest sześć litrów krwi, a Wołodia musiał jej mieć więcej, bo był wyjątkowo wielkim facetem.

Obróciłam się w stronę Anki i spojrzałam w jej ruchliwe źrenice. Zapowiadała się na doskonałe źródło informacji.

– O morderstwie chyba słyszałaś? – zapytała. – Tutaj zostały zamordowane dwie osoby. Wszystkie gazety o tym pisały i w telewizji nas pokazywali, mnie też.

– Tak, słyszałam.

– I mimo to się tu wprowadzasz? – Zatoczyła ręką, pokazując cały pokój. – Ja nigdy nie chciałabym tutaj zamieszkać, nawet gdyby

dziennie płacili mi stówkę.

Otworzyła drzwi znajdujące się przy meblościance i nacisnęła włącznik światła. Stałam obok niej i zajrzałam do środka. Była to niewielka łazienka z prysznicem i mocno sfatygowanym kibelem. Ścianę do wysokości półtora metra pokrywały stare, popękane kafelki, zupełnie pozbawione fug.

– Średnio estetycznie... – stwierdziłam.

– Jeśli chcesz się myć w lepszych warunkach, musisz sobie wyremontować. Gmina tego za ciebie nie zrobi.

– Nie będę niczego remontować, szkoda kasy. Zamierzam pomieszkać tutaj tylko kilka tygodni, a potem wracam do siebie.

– Uciekasz przed facetem?

– Przed nikim nie uciekam – odparłam. Wyjęłam z torby książkę i podałam ją Ance. – To jest moje debiutanckie dziełko, kilka kryminalnych opowiadań.

Wzięła egzemplarz wyraźnie podekscytowana.

– To naprawdę twoje?

Skinęłam głową. Patrzyła na granatową okładkę, na której widniały duże białe litery, składające się w tytuł: *Zagadki kryminalne Warmii i Mazur*. Zagwizdała na widok mojego nazwiska.

– Jesteś krewną tego Prusa?

– Nie.

Uśmiechnęła się.

– Przecież wiem, że nie. Musiałabyś się nazywać Głowacka. – Położyła książkę na stole. – Napiszesz dedykację? – poprosiła.

Pochyliłam się nad otwartym egzemplarzem. Kilkunastoma słowami zapełniłam górną część strony. Na dole wstawiłam datę

i pchnęłam książkę w stronę dziewczyny. Podniosła ją i przeczytała:

– „Rudej Ance, bohaterce mojej kolejnej powieści kryminalnej, którą zamierzam napisać w pałacu w Ponarach, autorka, Alicja Prus”.

– Uśmiechnęła się i podziękowała.

Czekałam na lawinę pytań, jednak żadne nie padło. Dziewczyna stała z przyciśniętą do brzucha książką i patrzyła na mnie obojętnie, jakby nie dotarła do niej treść dedykacji.

– Chcę napisać o morderstwie, które tutaj popełniono – wyjaśniłam. – Przyjechałam do Ponar, żeby zebrać materiały, żeby z wami porozmawiać.

Anka otworzyła książkę i ponownie przeczytała dedykację. Za chwilę eksplodowała entuzjazmem.

– Naprawdę będziesz o nas pisać? Super! Ale będzie jazda! Wszystkich to ruszy, nawet pana Adama. Kto by pomyślał, nasze morderstwo w książce!

– Na początek muszę się jak najwięcej dowiedzieć o samych ofiarach. Opowiesz mi o nich?

– O ofiarach? Ale ja ich dobrze nie znałam. Mieszkam w pałacu dopiero od stycznia. Tacy Lasoccy czy Nowakowie, oni mieszkają tutaj od zawsze. Z nimi porozmawiaj o ofiarach.

– Z nimi też porozmawiam. Dla mnie ważna jest każda relacja, twoja również. Może się okazać, że zauważyłaś coś, czego inni nie dostrzegli. To co? Opowiesz mi o nich?

– Teraz?

– Czemu nie.

Zawahała się.

– No dobrze, tylko pozwól, że najpierw zrobię siusiu, bo mój maluch znowu kopie mnie w pęcherz.

Gdy Anka zamknęła się w łazience, wyjęłam z torby komórkę. Uruchomiłam dyktafon i położyłam ją na parapecie. Obok postawiłam kosmetyczkę. Nie chciałam, aby moi rozmówcy widzieli, że rejestruję ich opowieści. Dyktafon mógłby ich peszyć, zaważyć na szczerości. Wyjęłam jeszcze czekoladki, otworzyłam je i czekając na ciężarną sąsiadkę, zjadłam dwie sztuki. Siedziałam przy stole, Anka zajęła miejsce na wersalce. Podając jej pudełko ze słodyczami, zagadnęłam:

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec. Mój Mariusz taki dumny, że to chłopiec. Kretyn. Jakby zrobienie chłopca wymagało większych umiejętności niż zrobienie dziewczynki.

Wzięła jedną czekoladkę. Zerwała papier przysłaniający cukierki i złożyła go w mały kubeczek. Dopiero gdy wyjęła papierosy, domyśliłam się, że ten prowizoryczny pojemniczek ma posłużyć jej za popielniczkę. Zaciągnęła się dymem.

– Czy w swojej książce podasz nasze nazwiska?

– Tylko wtedy, gdy wyrazicie na to zgodę.

– Mój Mariusz się nie zgodzi, ale ja nie miałabym nic przeciw. To musi być fajne, tak przeczytać powieść o sobie. Zgodziłabym się nawet na umieszczenie mojego zdjęcia.

– To wydawca zdecyduje, czy zdjęcia znajdą się w książce, ale wydaje mi się, że to dobry pomysł.

– Namów go, żeby były też zdjęcia. Dam ci fotkę mojego synka, podpiszesz ją „Rumcajs”, bo tak z Mariuszem go nazywamy.

– Najpierw muszę napisać tę książkę. Liczę, że mi pomożesz. Opowiedz mi o ofiarach.

Wypuściła dym nosem i zaczęła szybko mówić, jakby chciała dużo powiedzieć w bardzo krótkim czasie.

### RELACJA ANKI Z MIESZKANIA NUMER 3

Ja nie lubiłam Ludmiły i Wołodii Reznikowów, zwłaszcza jej. Z nim jeszcze można było się dogadać, może dlatego, że tak dobrze mówił po polsku, a ona prawie w ogóle. Ale to chyba nie o język chodziło, raczej o to, że ona uważała się za wielką panią, patrzyła na nas wszystkich z góry. Wielka pieprzona Rosjanka, a właściwie Sybiraczka, bo podobno urodziła się na Syberii. W to akurat wierzę, że pochodziła z dalekiej Północy, bo miała taką dziwną urodę. Jej oczy robiły duże wrażenie. Były zupełnie czarne, naprawdę, całkowicie czarne, jak węgiel, i trochę skośne, ale nie takie jak u Chińczyków. Mój Mariusz mówił, że ma diabelskie oczy i za takie oczy powinna trafić do piekła. Była ładna i zgrabna, i to mimo czterdziestki. Najbardziej zazdrościłam jej śniadej i gładkiej cery, ja jestem blada i piegowata.

Mieszkamy z Mariuszem w pałacu dopiero od dziesięciu miesięcy. Tego mieszkania użyczyła nam moja kuzynka. Wyjechała na jakiś czas na wyspy. Jesteśmy tutaj nowi, ale nikt nie traktuje nas jak obcych. To Reznikowowie byli obcy, a nie my. Wszyscy czuliśmy, że oni do nas nie pasują, może dlatego, że byli Rosjanami. Podobno on urodził się w Polsce, bo jego ojciec tu stacjonował. Chodził do polskiej szkoły, nauczył się języka. Był bardziej przystępny niż ona. Mój Mariusz kilka razy z nim popił. Raz wrócił z rozbitą wargą. Długo nie chciał powiedzieć, za co dostał od Ruska, ale w końcu wyznał. Wołodia przywalił mu, bo ten po pijaku zasugerował, że Ludmiła pracowała kiedyś jako tirówka. Nie wiem, czym się zajmowała, zanim poznała Reznikowa, ale chciałabym to wiedzieć. Może faktycznie była kurwą, to nawet pasowałoby do jej zachowania. Jeżeli ktoś wyjdzie z bagna, to podobno później wysoko zadziera głowę. Ludmiła udzielała korepetycji z ruska. Miała wzięcie. Nie rozumiem dlaczego. Przecież to tylko rosyjski. Ludzie z Miłakowa i Morąga przywozili do niej swoje dzieci, ona też jeździła po domach i uczyła. Brała sześćdziesiąt złotych za godzinę. Szok, nigdy bym tyle nie dała.

Przy niej Wołodia wyglądał trochę niechlujnie. Zwykle w rozpiętej koszuli i z kilkudniowym zarostem, często – jak to mawia moja mama – na rauszu. Ale parę razy widziałam go w jasnym, eleganckim garniturze, w butach, które wyglądały, jakby kosztowały ze cztery stówy, oczywiście ogolonego i trzeźwego. Wsiadał wtedy w samochód i zniknął na kilkanaście godzin, czasami na dwa dni. Mój Mariusz mówił, że Wołodia jedzie spotkać się ze swoimi ziomalami, żeby zrobić wielki deal. Raz, gdy wrócił w tym swoim eleganckim gajerku, zapytałam go, gdzie był. Nachylił się do

mojego ucha i wyszeptał, że załatwiał ważne sprawy z ludźmi, którzy uważają się za jego rodzinę, ale wcale nią nie są. Poprosił, żebym nikomu o tym nie mówiła, bo nam wszystkim w pałacu mogłoby grozić duże niebezpieczeństwo. Musiałam chyba mieć bardzo głupią minę, bo nagle wybuchnął śmiechem.

Byłam w ich mieszkaniu ze trzy razy. Pierwszą wizytę pamiętam dokładnie. Przyszłam z kremem do twarzy, który dostałam od kuzynki. Przywiozła mi go z Anglii. Chciałam, aby Sonia, ich córka, przetłumaczyła mi ulotkę z tego kremu. Ja też znam angielski, z pomocą słownika jakoś bym sobie poradziła, ale miałam ochotę zobaczyć, jak mieszkają. Gdy weszłam, Ludmiła siedziała przy stole. Wypełniała jakieś formularze. Owszem, powiedziała „dzień dobry” i nawet się uśmiechnęła, ale kawy nie zaproponowała. Sonia leżała na łóżku i rozwiązywała krzyżówkę w jakimś kolorowym pisemku. Ten kawałek pokoju z metalowym łóżkiem to była jej sypialnia, oddzielona parawanem w kwiaty od reszty mieszkania. Tamtego dnia ta zasłonka była do połowy odsunięta. Usiadłam obok Soni. Bez słownika błyskawicznie przetłumaczyła całą ulotkę. Wyrwała kartkę ze swojej gazety i zapisała na niej tłumaczenie. Zrobiła to z uśmiechem, zapewniała, że dla niej nie jest to żaden kłopot i chętnie służy mi pomocą. Była bardzo miła, w przeciwieństwie do swojej matki. Przez cały ten czas, gdy siedziałam z Sonią na łóżku, Ludmiła ani razu nie spojrzała w naszą stronę, nie zagadała do nas. Patrzyłam na jej profil. Miała włosy upięte w kok, a na ramionach czarny szal. Nie jakiś tam rozciągnięty sweter czy sprany polar, tylko szal z frędzlami. Każda inna kobieta w czymś takim wybrałaby się do teatru, a ona w tym chodziła po domu.

Sonię dało się lubić. Musisz przedstawić ją w książce jako sympatyczną nastolatkę, bo taka była. Nie miała tak oryginalnej urody jak jej matka, ale też była ładna. Możesz obejrzyć jej zdjęcia na Naszej Klasie. Soni naprawdę mi szkoda. Taka urocza i zdolna, chodziłaby teraz do trzeciej klasy gimnazjum. Jeszcze nie odnaleziono jej ciała. Oczywiście policja podejrzewa, że mogła się gdzieś ulotnić, ale to mało prawdopodobne. Nic ze sobą nie zabrała, nawet kieszonkowego. Wydaje mi się, że miała dobre relacje z rodzicami. Spędzała z nimi sporo czasu. Prawie codziennie jeździła z matką po zakupy, z ojcem łowiła ryby. Pamiętam, jak zimą razem z Wołodią odgarniała śnieg z dziedzińca. Obrzucali się śnieżkami. Sonia tak szczerze i głośno się śmiała. Widać było, że jest szczęśliwa. Trzeba przyznać, że Reznikowowie dbali o córkę, nie żalowali jej niczego. Miała laptopa, modne ubrania, chodziła na kurs angielskiego. Od jesieni do wiosny Wołodia woził ją na basen. Latem kąpała się w jeziorze, pływała jak rybka, umiała nawet nurkować. Kiedyś Madzi Nowakównie komórka wpadła do wody. Sonia zanurkowała trzy razy i ją wyłowila. Po morderstwie Wołodii i Ludmiły policja przeczesala całe jezioro. Aż

trzech nurków szukało Soni, ale jej nie znaleźli. Czasami, jak wieczorem stoję na pomoście i palę papierosa, to wydaje mi się, że ona tam leży na dnie i zaraz jej napuchnięte sine ciało wypłynie na powierzchnię.

*Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej*

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział I